Nr. 8. 1891 r. **Ogólnego Wydawnictwa Rok XIV.**

GONIEC i ISKRA

Dziennik dla wszystkich, illustrowany.

Lwów, dnia 10. Marca 1891 r.

Goniec i Iskra wychodzi trzy razy na miesiąc: 1, 10. i 20. każdego miesiąca. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują dodatki *bezpłatne* najczęściej *illustrowane* wychodzące nieperjodycznie w każdym miesiącu, oraz osobne *bezpłatne premia illustrowane*. Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. — Numer pojedyńczy kosztuje **25 centów.**

Właściciel i naczelny redaktor: ***M. D. Chamski.***

Dlatego...

— Ludzie śmieją się z nas, że stanowimy nierówne małżeństwo, a jesteśmy szczęśliwi i idziemy przez życie zgodnie... Żona prowadzi męża za rękę...

— I za nos — dlatego jesteś szczęśliwy, mój drogi...



Polityczne dzieci...



— Dzieci! Co wam do gazet, co wy tam czytacie?...

— Jaś czyta, że Boulanger połączył się z żoną...

— Jaki Boulanger?! Z jaką żoną?!...

— Czy ja wiem z czyją on się tam żoną połączył...

Porozumieli się...



— Proszę powiedzieć pani, że przyszedł ten pan, co pani wie...

— Właśnie, pani mnie uprzedziła i kazała powiedzieć, że nie można tego dzisiaj, co i owszem...

Czego więcej?...

— Co tam w świecie słychać?... Czy z wiosną pójdą świnie w górę, czy nie?..

— Jak będzie wojna — to pójdą...

— No, to niechże będzie ta wojna!...

— Będzie, będzie — nie bójcie się!... Na świecie, jest rzeźników do rżnięcia ludzi więcej, jak do rżnięcia świń...



Od Ekspedycji.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek, w którym się znajduje: „Tygrysy i lampart“ z notat myśliwego, „Z Paryża“ i ogłoszenia.

Od Wydawnictwa.

Rozpoczynając rok XIV. wydawnictwa, z umysłu nie piszemy obszernej rozprawy o tem, co było i o tem, co ma być. Było tak, jak w twardych naszych stosunkach i ciężkich warunkach bytu, mogło być najlepiej — będzie tak, jak pozwolą siły, cały zapas dobrej woli, najlepszych chęci i szczerego patrjotyzmu polskiego, który był, jest i będzie zawsze naszym codziennym pacierzem i artykułem wiary. Pismo nasze będziemy redagować w tym samym duchu i kierunku, będziemy urozmaicać i dołożymy wszelkich starań, aby było pouczające, pożyteczne i przyjemne. Za usterki w wydawnictwie, jeśli były jakie, serdecznie przepraszamy — ciężko jest wszystkim w naszych stosunkach, ale najciężej, niezawodnie, wydawnictwom perjodycznym w Galicji.

Szanownych prenumeratorów naszych prosimy uprzejmie, aby byli łaskawi odnowić bieżącą i wyrównać zalegającą prenumeratę, nadmieniając, że wszelkie zaległe rachunki, są dla wydawnictwa bardzo uciążliwe. Wszelkie korespondencje tak zwykłe, jak pieniężne adresować należy:

Administracja „Gońca i Iskry“
we Lwowie
ulica Kraszewskiego l. 23.

Od ręki.

= Przekleństwo amerykańskie!...
Pewna amerykańska gazeta umieściła spis tych, którzy jej zaległej prenumeraty nie zapłacili i tak im życzy: „Niech was nigdy nie pocałuje, ani jedna piękna kobieta; niech wam wieczorami całe pułki kotów i psów miauczą i wyją serenady; niech was spotka zawód we wszystkich waszych interesach — niech was, nakoniec, wszyscy djabli porwą!!!

= Najem tancerzy.
Bale karnawałowe w Londynie nie udają się dla braku tancerzy. „Liwerant wszystkiego“ Whiteley, wpadł na szczęśliwą myśl utworzenia przy kantorze swym „wydziału dla dostarczania tancerzy“. Dostarcza on sztukę po 20 gwinei (5 dolarów) beznagannie ubraną, mającą dobre nogi, prócz tego gwarantuje za nią, że umie się w salonie znaleźć. Czyby u nas we Lwowie nie dało się też coś zrobić dla fikalskich.

= Nasr-ed-Din.
Nasr-ed-Din, szach perski, jest stałym odbiorcą kupców i przemysłowców warszawskich. powozy i inne potrzeby dworu sprowadza od fabrykantów syreniego grodu. Obecnie zaś, zamierzając przed udaniem się w podróż do Indji i do Ameryki wydać swą córeczkę zamąż, w celu przysposobienia dla niej wspaniałej wyprawy, postanowił wysłać do Warszawy przybocznego swego adjutanta, dla zakupu rozmaitych sprawunków, wśród których articles de Varsovie stanowią ważną rubrykę. Jeden z przemysłowców warszawskich, otrzymał już zawiadomienie o tym zamiarze szacha perskiego.

= Z pola literatury i sztuki.
* „Kurjer Codzienny“ w Warszawie, wydał artykuły p. Stefana Nestorowicza, pod tytułem „W Brazylji i Argentynie“ — w osobnej, a niepraktykowanie taniej (trzy arkuszy druku za 5 kop.) odbitce — i oddał sprawie powstrzymania wychodźtwa usługę. Praca p. Nestorowicza, napisana w sposób prawdziwie interesujący, a oparta na gruntownej znajomości stosunków i trafiająca w samo *sedno* rzeczy, nawet najbardziej zaślepionych przekonać jest w możności. W ten sposób przeto, „Kurjer Codzienny“ spełnił dobrze swój obowiązek publicystyczny, obecnie zaś, jak najszersze rozpowszechnienie broszury należy już do publiczności. Jest to poprostu powinnością, od której nikomu z ludzi oświeconych uchylać się nie godzi Tak pisze warszawska *Rola*.
* Nakładem firmy Gebethnera i Wolffa wyszła świeżo w Warszawie powieść p Klemensa Junoszy p. t. „Syzyf — obrazy z życia wiejskiego“.
* Redakcja „Muchy“ wydała zbiorek „Monologów“, wypowiadanych na koncertach przez monologistę p. Artura Zawadzkiego.

= Oryginalne!...
Rzecz dzieje się w gabinecie doktora medycyny.
— Pana boli głowa w tem mianowicie miejscu?...
— Tak jest, tu.
— To tak, jak i u mnie..
— A jak pan schyli się — to tu boli — prawda?...
— Tak jest, bardzo boli...
— Bardzo boli — tak, jak i mnie... A w nocy jeszcze mocniej?...
— Całą noc nie raz nie śpię...
— Zupełnie tak samo, jak ja...
Twarz pacjenta przedłuża się...
— Ostatecznie, co pan doktor radzi — u pięciu lekarzy już byłem i nic nie pomogli...
— A ja u sześciu, proszę pana i także nic mi nie pomogli — odparł doktor i na tem zakończył konsultację lekarską.

= Człowiek porządny.
— Po czem poznać człowieka porządnego?...
— Po tem, że w kasynie gra w karty, w salonie ziewa, a w teatrze śpi...

= Kat postępowy.
Berry, kat londyński, jest mężem postępowym. Od pewnego czasu, przed każdą egzekucją prosił usilnie o pozwolenie zastosowania nowego sposobu wieszania, jak dodawał z dumą, własnego wynalazku. Odmawiano mu zawsze. Wreszcie, ustępując naleganiom oprawcy, szeryf Liverpoolu pozwolił mu powiesić „po swojemu“ jakiegoś Tomasza Macdonalda, straconego przed kilku dniami za morderstwo. Inowacja polega na tem, że Berry użył do wieszania nie sznurka, lecz łańcucha, na kilka stóp długiego; tylko na ostatniem ogniwie łańcucha widnieje pętla fatalna. Obecny przy egzekucji lekarz stwierdził, iż nigdy jeszcze śmierć nie była zadaną tak szybko, jak tym razem; prócz tego, łańcuch nie zrywa się tak łatwo, jak sznurek. Odtąd więc, postępowy kat będzie mógł stosować swój wynalazek bez przeszkody.

Wychowaniec.

Powieść z angielskiego

przez

Waltera Besant.

(Ciąg dalszy — patrz nr. 7).

Oliver zacisnął pięście, jakby groził niemi w ukryciu i odszedł krokiem człowieka, który nie dał jeszcze za wygraną.

— Co to ma znaczyć? — szepnął zaciekawiony spektator tej krótkiej, lecz wymownej sceny. — Możnaby myśleć, że przyszły prezes królewskiej akademii prosił o serce uroczej Syreny, ktora go odrzuciła, ponieważ jest brzydkim. Ale nie, to być nie może! Brzydota nie znaczy nic dla kobiety. Szczególna rzecz, jak one mało wagi przywiązują do powierzchowności. Musiał jej wyrządzić jakąś przykrość. Lecz co takiego? Uczoność szanownego męża widocznie nie imponuje jej wcale.

— Obeszła się z nim stanowczo, choć można było sądzić zdaleka, że grozi jej chwilami. Czyżby się ośmielił? Nie, nie, to niepodobna. Jak psa zepchnąłbym go do wody. Ale to być nie może!

Z tem wszystkiem, co mi do tego? Co mię z nimi łączy? Przekonałem się, że list mojej matki jest świstkiem papieru, nic więcej. A ta dziewczyna...

Pozostanę jeszcze, dopóki się nie dowiem, co to znaczy. Są tu rzeczy ciekawe. Ten poeta ubogi, który nie chce upomnieć się o należący do niego majątek. O ubogich poetach słyszałem, ale żeby który dobrowolnie wyrzekał się bogactw... I dlaczego? A patrjota, służący u pana Mayes... Wszystko to splata się tak dziwnie. Nie znam początku, a chciałbym poznać koniec tej całej historji. Możebym tu co odkrył, pozostając dłużej. Wartoby spróbować przynajmniej, choćby dla — Altei.

Śliczna dziewczyna!

IX.

W ukryciu.

Zegar wieżowy powoli zaczął bić godzinę dziewiątą i z pierwszem uderzeniem Altea złożyła robotę i wstała z krzesła przy oknie, aby jak zwykle przygotować pokój na posiedzenie wieczorne. A szło jej to tak szybko i zręcznie, iż łatwo można się było domyśleć, że powtarzała codziennie swoje zajęcie, do którego nawykła od lat wielu. Nie było ono trudnem. Przed małą sofką umieściła kwadratowy stolik z szachownicą, przysunęła do niego dwa stare fotele, ustawiła szachy. Nie zapomniała o świecy, tytoniu, fajkach i popielniczkach.

Pokój znajdował się w tym samym domu, do którego przed laty dwudziestu doktor Luttrel przywiózł kupione chłopię cygańskie. Był on dość duży, wysoki i jasny. Między oknami stał stary fortepian, na oknach kwiaty w doniczkach, koszyczek z robota na małym stoliku, czyste firanki i sprzęty proste i stare, lecz utrzymane starannie. Okna wychodziły na ulicę Nowej Tamizy i uchylone były w górnej części, dla uniknienia ciekawości ulicznych przechodniów. Na ścianach kilka starych obrazów, po większej części kopji krajobrazów, nad fortepianem duża fotografja heidelbergskiego studenta, w której na pierwszy rzut oka można było poznać Olivera Luttrel, na przeciwległej ścianie malowany portret młodzieńca o jasnych włosach i marzącem, natchnionem spojrzeniu. Twarz ta zwracała na siebie uwagę, zarówno wykonaniem starannem utalentowanego artysty, jak pięknością samego typu i wyrazem twarzy niepospolicie szlachetnej. W oczach zwłaszcza, zdawał się wiecznie płonąć święty ogień natchnienia, czoło wysokie, rozumne i piękne jaśniało czystością myśli, usta wyrażały dobroć i łagodność, a młody zarost zlekka zaledwie ocieniał dolną część twarzy młodego człowieka. Pod spodem znajdował się napis: Klemens Indagine 1851 r.

Skończywszy zwykłe przygotowania do wieczornych szachów, które stanowiły codzienną rozrywkę jej ojca i wuja, doktora Luttrel, Altea raz jeszcze obrzuciła pokój uważnem spojrzeniem, by się przekonać, że wszystko znajduje się na swojem miejscu. Za chwilę przyjdą zapewne obadwaj, a ona jak zwykle cicho usiądzie na sofce z robótką, lub książką, albo otworzywszy fortepian grać będzie smutne i tęskne melodje, które najlepiej lubiła.

Drzwi otworzyły się cicho i poeta wszedł do pokoju. Pomimo lat 70 można

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.

Illustracje odbite w litografji A. Przyszlaka we Lwowie, ulica Kopernika l. 9.

Dodatek

do Nru 8. „Gońca i Iskry.“

Tygrysy i lampart.

(Z notat myśliwego).

W styczniu r. 1881, w charakterze inżyniera, pracowałem w Birmanji około przeprowadzenia linji telegrafu.

Nasza główna kwatera mieściła się w Tavoy.

Tutaj dopiero miałem sposobność zadowolnić moje upodobania myśliwego, na które w Europie było zawsze trochę zaciasno... Tygrysów i lampartów mieliśmy prawdziwe, że się tak wyrażę, zatrzęsienie!

Już od pierwszych dni, musieliśmy prowadzić zaciętą walkę z tygrysami dla własnej obrony. Straszne te zwierzęta wprost sobie nas lekceważyły. W ciągu dnia, podczas prowadzenia robót przez tłum naszych ludzi, najspokojniej krążyły dokoła, lub wylegały się w zaroślach, oczekując ofiar. A niech tylko który z robotników wyszedł gdzieś na ubocze, można było ręczyć, że znajdzie się niebawem w szponach tygrysa.

Polowaliśmy trochę na te straszne zwierzęta. Ale nasze strzały niewiele pomagały. Zabiliśmy jednego tygrysa, lub dwa — i to z narażeniem życia — tymczasem, na miejsce zabitych, ukazywały się inne...

Ludzie nasi wreszcie wynaleźli wcale dowcipną pułapkę na tygrysy. Na grzbiecie jednego ze słoni, towarzyszących naszej wyprawie, umieszczali mocną klatkę, z przynętą dla krwiożerczego tygrysa, w formie choćby niewinnego prosięcia. Tygrys przybywał, poczuwał mięso i w tej chwili rzucał się na grzbiet słonia..

A za chwilę już spoczywał w mocnej klatce.

Swoją drogą, zuchwalstwo dzikich zwierząt nie ustawało. Sam byłem świadkiem następującej sceny.

Na inspekcję naszych robót przybył konno główny inżynier — anglik. Zsiadłszy z konia, rzucił cugle towarzyszącemu mu groom'owi. Zanim jednak oddalił się o sto kroków, straszny krzyk grooma zwrócił uwagę ogólną. Spojrzeliśmy... Oto, ukryty przed chwilą w zaroślach tygrys, siedział obecnie na grzbiecie drżącego i szalejącego rumaka, a biedny groom na małym swoim koniku zmykał w naszą stronę, aż się kurzyło..

Pogoniliśmy za tygrysem. pod którego pazurami koń w dzikich lansadach rwał w stronę lasu. Rumak uwiązł gdzieś między dwoma bambusami, a chciwy na zdobycz tygrys, w żaden sposób nie chciał go opuścić...

To było powodem jego zguby! Nasze słonie dogoniły go prędko, a ja strzeliłem tak szczęśliwie, że potwór upadł na ziemię, wijąc się konwulsyjnie... Nasz anglik posłał mu jeszcze jedną kulę, a któryś słoń zakończył agonję dzikiego zwierzęcia kłami.

W nocy, ażeby się ustrzedz niebardzo przyjemnej wizyty u obozowiska, musieliśmy ciągle podtrzymywać ogień... Swoją drogą, niespokojnym naszym snom towarzyszył zawsze groźny koncert strasznych ryków i przeciągłych wyć...

Trzeba mieć tutaj cokolwiek odwagi!

Tygrys birmański jest wogóle bardzo śmiały. Raz, naprzykład, widziałem napad tygrysa na stado bawołów indyjskich.

Dwieście tych zwierząt biegło w popłochu i przerażeniu, uciekając przed tygrysem, który niespodziewanie wpadł w środek stada. Mówiąc nawiasem, towarzyszący mi krajowcy z równą odwagą, ujrzawszy tylko tygrysa, podali tył.

Zostałem tedy sam z ręką na karabinie i byłem świadkiem wspaniałego widoku walki tygrysa z bawołem.

Jeden bawół ze stada nie zdołał umknąć tygrysowi. Widząc zaś przed sobą groźne niebezpieczeństwo, postanowił walczyć. Bronił się zacięcie, choć widocznie musiał uledz. Tygrys skoczył najpierw na grzbiet zwierzęcia, a następnie uwiesił się u jego gardła. Bawół robił gwałtowne usiłowania, ażeby pozbyć się tego strasznego ciężaru Za chwilę obydwaj zapaśnicy tarzali się po ziemi... Naraz, potężnym wysiłkiem bawół zdołał powstać i nadstawić przeciwnikowi rogi. Ale tygrys ogromnym skokiem znalazł się znów na grzbiecie dzikiego wołu...

Walka zdawała się stanowczo przechylać na stronę drapieżnika, gdy wtem. . ukazały się nasze słonie...

Na ich widok, tygrys zmuszony był opuścić swą ofiarę i, chromając, ukrył się w zaroślach.

Bawół broczył cały krwią...

W tydzień potem zaczęły się rozchodzić wieści, o gospodarce wśród okolicy jakiegoś olbrzymiego lamparta. Miał on pożreć kilku krajowców.

Postanowiliśmy urządzić nań obławę i sprzątnąć szkodnika.

Słonie nasze zostały odpowiednio przybrane i wyruszyliśmy na miejsce, gdzie można było spotkać dzikie zwierzę.

Po godzinie drogi, znaleźliśmy się na równinie, pokrytej wysokiemi trawami, krzakami i zaroślami; gdzieniegdzie znajdowały się potężne drzewa Była to miejscowość bardzo dogodna dla lamparta, który mógł się tam łatwo ukrywać, lub też wypadać na nas niespodziewanie.

Słonie nasze, czując wyziewy zwierzęcia, były bardzo niespokojne; zaledwie można było nimi powodować. Mój słoń pierwszy wytropił lamparta. Począł on wydawać ostre odgłosy, coś w rodzaju dźwięku trąby, na które odpowiadały inne słonie. Niepokój olbrzymich naszych rumaków wzrósł do najwyższego stopnia. Gwałtowne ich ruchy robiły wrażenie kołysania okrętu podczas burzy.

Z największym trudem można się było utrzymać na ich grzbietach.

Wreszcie zdołaliśmy do pewnego stopnia uspokoić słonie. Zaatakowaliśmy tedy zarośla, w których ukrywał się lampart. Zwierz, widząc ośm słoni, posuwających się przeciwko niemu, podniecanych krzykiem kornaków, cofnął się i poskoczył w dalsze zarośla.

Ja i jeden z moich towarzyszów strzelaliśmy — naprożno.

Z kolei lampart nas zaatakował. Jednym skokiem znalazł się pośród naszych słoni. Rzucał się to na prawo, to na lewo, pragnąc rozerwać grubą skórę naszych słoni, lub dosięgnąć którego z myśliwych.

Strzelać, w obec gwałtownych skoków i rzutów napastowanych słoni, było prawie niepodobieństwem. Położenie lamparta było tem łatwiejsze, że przyciśnięty przez słonie, w paru skokach chował się w niedostępny gąszcz zarośli, chroniący go też od naszych kul.

Swoją drogą, był to wyjątkowy okaz, ze względu na swe potężne rozmiary i siłę.

Poleciliśmy tedy obławie okrążyć zarośla. Dzikie krzyki i strzały z tyłu, ostatecznie wypłoszyły lamparta z zarośli i skłoniły do stanowczego ataku na nas.

Pierwszy mój słoń dostał tak straszne uderzenie między oczy, że prawie zachwiał się. Za niewielką chwilę, spostrzegłem dzikie zwierzę na tyle jednego ze słoni. Pozycja była dogodna, mój słoń ogłuszony widać uderzeniem, stał spokojnie... Strzeliłem!

Przez chwilę mieliśmy wątpliwość, czy lampart został trafiony. Pozostawał jedną sekundę w tem samem położeniu. Chciałem już na nowo nabić broń.

Gdy w tem zsunął się ze słonia i padł na ziemię zabity.

Był to w swoim rodzaju olbrzym. Mierzyliśmy go. Od pyska do końca ogona, miał długości siedm stóp i dziewięć cali...

M. B.

Z Paryża.

(Z korespondencji Stanisława Ornowskiego do warszawskiego „Wieku“).

Jak w Paryżu mieszkają, jadają i co jadają...

Ale, powie czytelnik, czemże się to dzieje, dlaczego taki kontrast stawiasz nam przed oczy, kiedy kuchnia paryzka zdawien dawna słynie ze swej dobroci i wytworności? Na to odpowiedzieć wprost, byłoby nie w porę; uczynię to za chwilę. Przywykły od dziecińska do wzorowej kuchni polskiej, słyszałem i ja zawsze od krewnych i znajomych, powracających z Paryża, słowa pochwały o tamecznej kuchni, o kuropatwach utrafionych à point, niby pomarańcza podrumienionych, o indykach truflowanych, o niezrównanych pasztetach itd. Odnoszą się przeważnie te opowiadania do epoki trochę dawniejszej, do czasów cesarstwa, kampanji włoskiej, kiedy to Café Anglais, skromne dziś, choć zawsze reputowane i droga restauracja była najpierwszą w Paryżu, a jedną z najwykwintnieszych ulic była prawie zapomniana dzisiaj rne du Helder. Ale przepaść dzieli tamte czasy od dzisiejszych, i to co wówczas dostępnem było dla średniej sakiewki, dziś książęcemn tylko bndżetowi służy, I jnż po wieki wieczne w Paryżu

wszyscy co książęcym budżetem nie rozporządzają, skubać się muszą, aby wymieszkać i wyżyć o ile za podstawę obiadu nie chcą, lub nie mogę przyjąć chleba i jarzyn, a mieszkać nie życzą sobie w pokojach, a raczej klatkach mających tylko jednę ścianę od ulicy a zresztą pięć „forsztowań“ to jest trzy z boków, jedno pod stopami i jedno nad głową, — co daje na każdy pykój pojedyńczy pięć sąsiedztw, nie licząc szóstego, — wrzaskliwej ulicy. Tak, albowiem, stawiają się obecnie wszystkie domy i hotele w Paryżu (także z wyjątkiem książęcych) i kto znajduje się „w ciszy“ swego gabinetu, słyszy najlżejsze poruszenie stołka u pięciu naraz sąsiadów. Byłoby nawet do pomówienia o tem obszerniej; dotknąłem jednak tej kwestji mimochodem i, aby jedynie dać pojęcie o tej jeszcze jednej miłej stronie życia paryzkiego, wspomnę niedawno zmarłego, nieodżałowanego Oktawiusza Feuillet, który lubiąc Paryż i spokój, pragnął pogodzić to dwoje ze sobą. Feuillet lubił bardzo spokojność domową, zaciszną, ustronną — potrzebował jej wreszcie jak każdy pisarz, mający tworzyć rzeczy głębiej pomyślane, trwałe. Lnbił jednak Paryż i pragnąc tu osiąść, napróżno szukał ustronnych siedzib, domostw, które dawny Paryż tak pamiętnym czyniły. Domostwa te zmienione zostały przy ryczałtowej przebudowie, jakiej nległo miasto w ciągu ostatnich lat dziesiątków; te zaś co ocalały, starczą w dzielnicach, które zmieniły fizjonomię, a jako położone w centrum miasta, narażone są na największy ruch i wrzask. Pozostał więc Fenilletowi nowy Paryż, i w tym nowym Paryżu napróżno szukał dla siebie przytułku. Zmienił kilka mieszkań w ciągu roku, aż nareszcie wpadł na pomysł. Upatrzył sobie dom niewysoki, trzypiętrowy zaledwie, kupił go, wymówił komorne sklepom i drugiemu piętru, sam zaś nlokował się na pierwszem. I to jednak nie okazało się dostatecznem; jeszcze skarżył się Fenillet, że mu trzecie piętro na głowie tańcuje. Dopiero, kiedy grnbym dywanem wysłać kazał posadzki drugiego piętra po nad sobą, pozyskał względny spokój, i w tym spokoju ostatnie lata przeżył. Kosztowało go to drogo, bo sklepy czyniły 7.000 franków rocznie, drugie piętro 5.000, czyli że komorne jego sięgało 18.000 franków na rok, ale miał spokój. Był to już przecież budżet książęcy, którym rozporządza niewielu.

Mówiłem tedy, że słyszałem zawsze ogromne pochwały o kuchni paryzkiej i że pobywszy dłużej nad Sekwaną doszedłem do przekonania, że ta wyborna kuchnia paryzka dostępna już jest tylko dla książęcych dochodów. Pierwsze moje rozczarowanie datuję z pierwszych tygodni pobytu w Paryżu. Wypadło mi dla towarzystwa być na obiedzie w pierwszorzędnym, a najwygodniejszym tutejszym hotelu Terminus. Obiad siedmiofrankowy, powinien być przeto bardzo dobry, i był nim w samej rzeczy aż do pieczystego. Cóż albowiem podano nam na pieczyste? Oto *wiewiórki*. Wprawdzie w encyklopedjach jest powiedziane, że młode wiewiórki są jadalne, ale to jnż był październik, miesiąc, w którym najmłodsze francuzkie wiewiórki już po pół roku mają; twardość zaś i odór żywicy, które w podanych na stół wiewiórkach znalazł mój sąsiad, — bo ja tego specjału nie tknąłem, — świadczyły, że to pieczyste nie jednę wiosnę po drzewach przeskakało. Jeżeli zatem w siedmiufrankowym obiedzie można się z taką spotkać zwierzyną, co tu powiedzieć o tańszych?

* * *

Powyższy epizod prowadzi mię do bezpośredniej przyczyny dekadencji kuchni francuzkiej w naszych czasach. Jest nią przedewszystkiem wyczerpanie zasobowości spożywczej kraju. Jak w miejsce kuropatw, sarn i zajęcy zjadają się tutaj skowronki, gnojone cielęta, skopy i króliki, a w Paryżu koty i wrony podobno, tak w każdej dziedzinie jadalnej poczyna w tym kraju zbywać na materjale spożywczym, *matière première*. Następstwem tego drożyzna, następstwem drożyzny coraz większa trudność dostatecznego wyżywienia wszystkich naraz i każdego w szczególności. Jakże to żądać można, żeby w parufrankowym obiedzie — że znowu powrócę do tej przeciętnej normy, — figurowały soczyste bifsztyki, zwierzyna i w ogóle, aby obiad ten przygotowany był z pierwszorzędnej prowizji, kiedy *mięso końskie* w Paryżu sprzedaje się dzisiaj po następujących cenach:

Polędwica końska 1 kilogram 2 franki.

Mięso końskie zrazowe 1 kg. 1 fr. 60 cent.

Inne części konia kilogr. od 1 fr. 20 cent. do 1 fr. 40 cent.

Po redukcji tych cen na nasze funty mamy zatem: funt polędwicy końskiej około 30 kop., funt koniny zrazowej 25 kop., funt reszty mięsa około 20 kopiejek, czyli że nad Sekwaną konina kosztuje blizko dwa razy drożej, aniżeli nad Wisłą wołowina...

I tutaj dopiero mówić trzeba o mięsie końskiem, mulem i ośłem, i tutaj podziwiać talent kucharzy paryzkich. Ile koni, mułów i osłów pada w Paryżu i w dziesięciomilowym promieniu, wszystko to zjada Gargantua — Paryż. Ani jeden funt mięsa z tych stworzeń przed nim się nie ostoi, pożera wszystko aż do kopyt i nozdrzy, bo jednym z przysmaków paryzkich jest „salade du museau de boeuf“, sałata z pyska i nozdrzy wolich i krowich, ale w obec zapotrzebowania i dzięki pieprzom, octom i innym ingredjencjom przyrządzanych i z konia i z osła i z muła; aż do serca, ktory zabitemu lub zdechłemu koniowi i osłu wyrwane idzie do garkuchni na przedziwne „ragoût“ z cebulkami; aż do krwi, która starannie zebrana idzie do kiełbaśników paryzkich, do „charcutierow“, którzy przy jej pomocy sporządzają owe ponętne kiszki, „boudins“, którem delikatnją się paryżanie.

Zola cały tam poświęcił „brzuchowi“ Paryża i z właściwą sobie stronnością chciał ująć w sympatyczne formy i odmalować powabnie „symfonie“ (!) kolorów i zapachów kapusty, kalafiorów, jarzyn, mięs itd. sprzedawanych na olbrzymich targowiskach hall paryzkich. Ale tam nie ma nic o koniu, ośle i o rzeczach, które ich są: tam nie ma ani słowa o tem potężnem dziele fałszowania pokarmów i napojów, jakich te targowiska są widownią. Tymczasem zaś, taka tylko książka, odsłaniająca kulisy fałszerstwa produkcji francuzkiej miałaby wartość. Chytry Francuz wiedział co robił, przy pomocy swojego „Ventre de Paris“, mydląc oczy światu całemu i wystawiając "commerce des Halles“ w barwach najdodatniejszych, najsympatyczniejszych w świetle bezwzględnej dobrej wiary, tak że cudzoziemiec po przyczytaniu tej książki aż dziwi się, jaki ten Paryż bogaty, jak on je dobrze!

Tymczasem ten Paryż je tak dobrze, że wypadki śmierci głodowej są tu faktem *codziennym*. Ale o tem potem.

Powiedzieliśmy tedy, że Paryż Gargantua zjada z nozdrzami i kopytami wszystkie konie, muły i osły padłe w jego obrębie i promieniu dziesięciomilowym. Nic nie powiedzieliśmy o mózgach tych stworzeń, a to jest bodaj rzecz najciekawsza. Mózgów tych jest jednak dużo, bardzo dnżo, mózg jednego konia przedstawia już wagę wcale poważno. Cóż się z nimi robi? Czyżby pomysłowi Francuzi wyrzucali je na śmietnik? O nie! Nie byliby pomysłowi, gdyby tak było: oni posyłają mózgi końskie, ośle, mule i innych zwierząt do serowni. Ojczyste sery, przeznaczone zwłaszcza dla Paryża i na eksport zagraniczny; owe poszukiwane Brie, Camamberty, Roquefority itp. są właśnie wynikiem fermentacji tych mózgów, uzupełniających „matière première“, mleczywo, często zastępujących je w zupełności...

Wyznam państwu, że kiedy się o tem dowiedziałem, taki wstręt zdjął mię do wszystkich serów francuzkich, że przez parę miesięcy ich nie tknąłem. Przeszło to jednak. Widzę, że dokoła mnie jedzą je ludzie wcale nie gorsi odemnie — pogodziłem się, serami. Nie mogę jeszcze pogodzić się z margaryną, ale i do tego przyjdzie zapewne...

Otóż teraz dopiero, wiedząc jak wielką rolę w odżywianiu Paryża grają mięsiwa niejadalne gdzieindziej, możemy podziwiać talent paryzkich kncharzy.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.